

Oaza

(c) 2012 by Emma Popik

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez autora. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody autorki. Zabrania się jej odsprzedaży, zgodnie z regulaminem zawartym na stronie autora.

www: <http://www.emmapopik.pl> email: popik@koti.pl

Emma Popik

OAZA

Jechali na wielbłądach, pył spod kopyt unosił się obłoczkami aż do kościstych kolan zwierząt. Mężczyzna, kobieta i dziecko byli owinięci w płachty przytrzymywane sznurami krzyżującymi się na plecach. Tkaniny utraciły dawne barwy na deszczu, a wiatr postrzępił ich brzegi, toteż ludzie ubrani w lachmany przypominali szare węzłki. Głowy owinięte w szmaty tworzyły kule, a ten turban z galganów, zsunięty aż do brwi, ukrywał oczy żarzące się w twarzach posiekanych szarugą.

Zdążali ku morzu, mieli bowiem jeszcze nadzieję i ono wydawało się ludziom celem i wybawieniem, jak zawsze. Ziemia świeciła srebrzyście, jechali jak we mgle, w błyszczącej mące. Nieba nie było widać.

Podjeżdżali, że pewnie zbliża się ku wieczorowi, bo już czuli przymatające ich zmęczenie, chłopiec przymykał powieki, a głowa opadała mu na pierś, drzemał kołysany krokami wielbłąda. Zwierzę zaczynało żuć wydzidło i wszyscy czuli już głód, ale myśleli o morzu, o łomocie fal budzących w ludziach moc, marzyli o chłodnym wietrze na skroniach uwolnionych wreszcie z zawojów, a pragnienie zamurzenia stóp w chłodnej wodzie popychało ich naprzód.

Kopyta zaczęły uderzać w nieco twardszą ziemię i pył zrzędł. Dojrzeli w oddali pagórki, były wąskie i okalały dolinę niby żebra, wyobrazili sobie, że w dole musi leżeć oaza, więc przyspieszyli, myśląc o źródle i roślinach. Ale pragnienie trwało tylko chwilę, stłumili je w sobie, by nie przeżyć rozczarowania, już tyle przecież spotkało ich zawodów.

Chcieli dotrzeć do doliny, zsiąść wreszcie z wielbłądów i przyluliwszy się do ich ciepłych brzuchów przespać choć kilka godzin. Ale chłopiec miał mniej siły niż rodzice, śpiąc kiwał się w rytm kroków, nagle kopyto wielbłąda stanęło na kamieniu. Podrzut i od wstrząsu dziecko spadło na ziemię, obudziło się i leżało z otwartymi oczami, nie rozumiejąc, co się stało. Nie wydało ani jęku, ani krzyku, nauczone niebezpieczeństwami zaciskać zęby i tulące znosić cierpienie. Rodzice zatrzymali zwierzęta i patrzyli z niepokojem na chłopca leżącego nieruchomo na plecach. Czy nie uderzył się głową o kamień, czy nie pękła kostka w kręgosłupie? Ojciec przygnął blisko swoje zwierzę i, wychyliwszy się, najdalej jak mógł wyciągnął ku dziecku rękę. Chłopiec patrzył na niego obojętnie i nie miał siły nawet ruszyć palcem. Matka również zatrzymała wielbłąda tuż obok i uśmiechnęła się do syna prosząco.

Chłopiec wiedział, jak ciężko jest zsiadać z olbrzymiego zwierzęcia i to wieczorem, kiedy brakuje sił. Musiał skłonić swoje znartwiałe ciało do wielkiego wysiłku, wyciągnął więc powoli ramię, a ojciec uchwycił go mocną ręką i lekko szarpnąwszy uniósł do góry, by posadzić obok matki. Otuliła syna swym lachmanem i wsunęła mu do ust kawałek suszonego owocu, który napełnił jego usta błogą słodyczą. W ciepłe, przytulony do piersi, od razu zasnął.

Ruszyli ku zębrowatym wzgórzom, pył wyraźnie zrzędł, ojciec prowadził wielbłąda, a matka czując swoje dziecko śpiące bezpiecznie obok niej, zaczęła znowu marzyć nierozsądnie o odrobinie świeżej wody i o zielonych krzewach.

Musiała być już późna noc, kiedy wreszcie dotarli do pagórków, tylko wydawały się być blisko. Zatrzymali na szczycie zwierzęta i próbowali, przeniknąwszy ciemność, zajrzeć w głąb doliny. Była olbrzymia i jak cały świat kamienista, nie mieli pewności, czy na jej dnie bije źródło, brakowało im sił, by zejść i przekonać się. Musieli najpierw odpocząć, tu na brzegu; patrząc w dół, mieli nadzieję, że po kilku godzinach snu zdołają się wybrać na tę wyprawę po kamienistym, sypkim zboczach. Ich zmęczenie było zbyt obezwładniające, by mogli od razu wyruszyć.

Zsiadli wreszcie z wielbłądów po chwili milczenia, one zaraz położyły się z nogami zgiętymi pod brzuchem, matka ułożyła syna przy ich pulsującym ciepłem, zwierzętom wetknęła w pyski po garści trawy,

mężczyźni dała dużą garść ziarna dzikich zbóż i przytuliła się do dziecka. Nie mogła jednak zasnąć, popatrywała w dolinę, czuła, że tam, w dole czai się coś złego.

Mężczyzna usiadł i oparłszy łokcie o kolana podawał sobie do ust małe garstki ziarna. Już je starannie, było to bowiem jedyne ich jedzenie i przypatrywał się dolinie. Dziwiły go jej wielkie rozmiary i regularne kształty. Wydawało się, że została wytworzona sztucznie, jakby wybita w ziemi uderzeniem pięści, a od ciosu ziemia wokół pofałdowała się w równoległe wzgórza.

Uniał nazwać ów cios, ale nie chciał wypowiadać tego słowa. Widział wiele takich sztucznych dolin, pierwsza została wybita w ziemi tam, gdzie znajdowało się jego miasto. Od tego czasu szli ku morzu i wciąż mijali regularne doliny niby trumny.

Na szarych zboczach, będących usypiskiem kamieni, panowała martwa cisza, nie przesłonięła się tu ani jaszczurka, nie przepętał wąż. Ale kiedy jego oczy się przyzwyczaiły, zauważył, że chyba ktoś tu próbował zamieszkać na dnie. W wygrzebanych w piasku dołkach usiłowano klecić schronienie z desek i kamieni, ale szybko porzucono budowę, i w jamach stały szalasy bez dachów, rozwalające się budy, barłogi pod gołym niebem, czy wreszcie dwie oparte o siebie deski tworzące dach.

Nie dostrzegł jednak ludzi. Było szarawo, pył tu znacznie przerzedzony nie oświetlał jednak doliny. Podniósł głowę i po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczył niebo. Wisiało misko, było skłębione i nie przynosiło pocieszenia, więc przeknąwszy ostatni okrucuch ziarna, położył głowę blisko szyi swego wielbłąda i zapadł w sen.

Śpiąca rodzina nie zauważyła, że spod bud i daszków zaczęły wypęczać jakieś postacie, na wpół pełznące na kolanach i podpierające się łokciami posuwały się w stronę leżących. Od czasu do czasu istoty podnosiły twarze i wciągając głęboko powietrze próbowały rozróżnić zapachy ludzi i zwierząt, a za najlżejszym poruszeniem się przybyszów we śnie przypadały do ziemi, by leżeć płasko w piasku między kamieniami, tak by nikt nie mógł ich dojrzeć, nawet gdyby się obudzili.

Kiedy już były bardzo blisko, obudził się chłopiec. Podniósł głowę i rozejrzał się. Było mu bardzo gorąco, od ziemi bił żar. Spocić się we śnie i jego zawój zsunął się z miękkich włosów. Bardzo dokuczało mu pragnienie. Musiał już się zbliżyć świt, pył przerzedził się mocno. Nie pił od tak wielu godzin. Panowała cisza, jak zawsze przed wschodem słońca, choć ono nie przebiło się przez gęste niebo.

Chłopcu wydawało się, że na dnie doliny zaśniło lustro wody, ale nie poruszył się, był ostrożny. Przyglądał się uważnie każdemu kamieniowi, panowało wokół milczenie i bezruch. Dopiero gdy się upewnił, że jest bezpiecznie, wstał bezszelestnie i jeszcze raz rozejrzał się. Od poprzedniego wieczoru nie się nie zmieniło, uznał, że dolina jest pusta, zaczął więc cicho zstępować.

Ledwo zdołał uczynić parę ostrożnych kroków, pochwyciły go ręce, objęły ramiona i spod kamieni podniosły się jedna za drugą dziwaczne istoty. Nawet nie krzyknął, nie robiły mu nic złego, a spotykał wiele niezwykłych form życia podczas długiej wędrówki. Przyjrzał im się, zdecydował, że to ludzie. Byli zwyczajni, ubrani w długie koszule, nieomal jak on sam, ale jakże smutni i wynędzniali! W milczeniu podawali go sobie z rąk, do rąk wciąż w dół. Staral się trafić prosto w objęcia, nie upaść i baczył na ich zamiary.

Pierwsza obudziła się matka. Otworzyła oczy w kilka sekund po porwaniu chłopca i lekko dotknęła ramienia mężczyzny, on zerwał się, bo nie innego nie można było zrobić. Tylko matka zaciskała sobie usta ręką, by nie wybuchnąć strasznym krzykiem.

Ludzie w długich koszulach podawali sobie chłopca coraz dalej, wreszcie ustawili niby posązek na platformie ze splecionych rąk i stali wokół milcząc. Rodzice byli pewni, że teraz zacznie się najstraszniejsze. Czy ci ludzie powrócili do dawnych rytuałów, czy zamordują dziecko?

Ojciec musiał coś przedsięwziąć, jedyna rzecz, którą może zrobić, to... Wciąż wpatrzony w dziecko pochwycił kamień. Jego palce się zacisnęły, już miał rzucić, gdy ludzie zaczęli wykonywać dziwne ruchy. Część z nich kofysada się na boki, inni podnosili i opuszczali ramiona, a potem zataczali nimi koła, kiwali się i potrząsali głowami.

Rodzice porozumieli się wzrokiem, by uzgodnić nazwę czynności tamtych. Uzgodnili swym wyrazem oczu, że jest to taniec. Ale co oznacza? Co wyrażała ta najpierwsza mowa ciała, zrodzona w czasach, gdy język

był jeszcze niemy? Czyżby ci ludzie zaspokajali pierwotne instynkty i taniec miał uciec ofiarę przed zarżnięciem?

Oto jakaś ręka sięga już do gardła chłopca. Świsnął szybki kamień i ugodził napastnika prosto w czoło. Człowiek rozkrzyżował ręce, na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, upadł na plecy i już się nie poruszył. Tańczący nawet nie zwrócili uwagi na jego śmierć, niektórzy – potknąwszy się o ciała – walili się niezdarnie na ziemię, ale zaraz powstawali, tak obojętni, jakby ich drogę zagroził głaz, a nie ciało współplemieńca, który jeszcze przed chwilą tańcem o coś się modlił.

Inne ręce wyciągnęły się do gardła chłopca, ale nim ojciec zdążył zareagować, wszyscy odskoczyli w tył, wyrzucając ramiona w górę w geście błagania i nadaremnej rozpacz, a potem wszyscy położyli dłonie na własnych gardłach i tak się zatrzymali. Podeszli wtedy następni; gest w stronę gardła dziecka, wyrzut ramion w górę w beznadziejnym proszeniu i zastygnięcie w bezruchu, jak poddanie się straszemu losowi. Lecz rodzice do końca nie umieli pojąć znaczenia gestów.

Chłopiec stał na lekko drżącym podeście z ramion i już odczuwał ból od dotknięć, które były bardzo lekkie, lecz liczne. Rodzice z przerażeniem patrzyli na kolejne ręce sięgające do twarzy dziecka. Zauważyli, że palce dotykają gardła, ust lub oczu, obawiali się wciąż, że któraś z rąk się zaciśnie.

Nie mógł już wytrzymać. Bolała go twarz, każdy centymetr skóry palił od dotknięć. Zaciśnął powieki i krzyknął, jak mógł najgłośniejszy, nie potrafił się dłużej trzymać na wodzy, był przecież tylko dzieckiem, zaczął płakać całą siłą swoich płuc. Echo niesło się po dolinie, odbijało od wzgórz i powracało do ludzi zwiokrotnione niby dźwięki harmonii.

Ich ręce zamarły, nogi zatrzymały się w pół kroku, ciała zeszytywały, przeczylili głowy, by uszy lepiej chwyciły dźwięk. Stali niby martwi, nashukiwali płaczu dziecka, upojeni tym głosem. A dzieciak stał i rozmazywał łzy po policzkach.

Nagle jedna z kobiet otrząsnęła się, podbiegła i pochwyciła malca w ramiona, objąwszy go zaczęła z nim uciekać. Dłonie, na których stał, poczuły brak ciężaru, chłopiec ze zdziwienia zamilkł, ludzie weszli w powietrze podnosząc głowy i wsłuchiwali się w kierunek odbiegających kroków.

A ona, tuląc go w ramionach, uciekała niby z cenną zdobyczą. Rodzice nie wiedzieli, czy ta scena należy do rytuału? Może za chwilę imni się rzucą, by odbić porwanego jeńca?

Po kilkudziesięciu krokach zgnęła się i przysiadła na piasku, ciężko dysząc. Jedną jej ręką obejmowała chłopca, a drugą nieśmiało dotknęła policzka dziecka, przesunęła się po jego rysach, aż wreszcie palce wsunęły się delikatnie w miękkie kręcone włoski i nagle się zatrzymały, zdziwione tym jedwabistym puchem, i powoli przesypywały pasemką, czyniąc to tak nieznacznie, że nawet nie rozprostowywały loków.

Chłopiec nie rozumiał, co wstrząsa sercem kobiety, czuł tylko własny ból, miał twarz opuchniętą, nie mógł już znieść dotknięć tych obcych, odsunął się więc, wziął porządny zamach i trzasnął kobietę prosto w twarz zwinętą pięścią. Szarpnął się, wyrwał ze słabych objęć jednej, chudej jak piszceł, ręki i uciekł.

Ona siedziała długą chwilę z otwartymi ze zdziwienia ustami, dotknęła uderzonego miejsca i powiodła po nim palcami, jakby się przekonywała, że to naprawdę się stało. Pochwyciła się za serce, jakby tam pojawił się nagły ból. Jeszcze gdzieś w głębi ją zakłuło, zwinęła się i rozprostowała niby gąsienica nabita na szpilkę. Wstała walcząc z bólem, który wybuchal w różnych miejscach, chwyciła się za brzuch, za pierś, czy za głowę.

Uciekał klucząc zygzakami, ale nagle zobaczył źródło, mimo zniechęcenia przyspieszył bieg. Kobieta tańczyła dziko pokazując, jak płoną w niej ogniska bólu. Objął ją płomień, a taniec stał się dziksz, podobny do opętania. W skrętań i szalonych gestach oddychała głęboko, było to jak hipnoza, traciła już kontakt z rzeczywistością, zagłębiała się w sobie. Pokazywała, jak serce jej wali, a siły spływają w piasek niby nadaremna woda.

Dobiegał już do źródła. Mieszkańcy doliny nasłuchiwali, zrozumieli, że obok ktoś tańczy swą śmierć. A dwoje ludzi na wzgórzu odetchnęło z ulgą, ich dziecko było bezpieczne, wszyscy zainteresowali się umierającą. Chłopiec miał jeszcze kilka kroków do ożywczej wody, zwilżył wysuszone gardło, opłucze poczerwieniała twarz. Tańcząca wirując pokazywała jak płyną w niej rwące potoki. Po chwili wyczerpana zwinęła ruchy, umierała. Przecież nie od uderzenia dzwiczęcej piastki.

Ludzie z pochylonymi głowami wsłuchiwali się w taniec agonii. Dwoje

na wzgórzu zrozumiało, że ich dziecko jest bezpieczne. Chłopiec miał już zaledwie parę kroków do ożywczej wody. Kobieta opadała z sił, kołysała się z opuszczonymi ramionami.

Z westchnieniem ulgi klęknął przy wodzie, kobieta upadła, konała, jej pierś ledwo raz i drugi miała się się unieść. Zaczepnął dłońmi wody, unosił do ust. Leżąca już się przestała poruszać. Na jego twarzy pojawiło się uczucie szczęścia. Ramiona rozciągniętej na piasku leżały dokładnie wzdłuż boków.

Ludzie usłyszeli, że kobieta upadła, pokiwali tylko głowami, jakby ją oplakiwali i musieli pogodzić się z losem czekającym każdego z nich. Nagle ruszyli w korowodzie, chwyciwszy się na boki niby trzciny kołysane wichurą i zasłaniając twarze obyczajem płaczków. Powoli posuwali się w stronę ciała, chłopiec wciąż pił, a potem zanurzył głowę w zimnej wodzie.

Došli, ich palce obmacwały nieruchomą twarz i wybuchł w nich wielki płacz, tym straszniejszy, że bezgłośnie, krzyczały ręce, wołały przerażone ciała. Po chwili kilku wzięło ją na ramiona, utworzyli kondukt i szli noga za nogą jakby na pogrzebie, w rytm kotłów i żałobnych tręb. Zanim doszli do wzgórza byli już wszyscy spokojni, posuwali się do przodu rytmicznie, zwartą gromadą, a wszyscy mieli opuszczone głowy.

Chłopiec chlapał się w wodzie, a rodzice ruszyli pędem w dół, popędzając zwierzęta. Mimo pośpiechu i dręczącego wszystkich pragnienia stawiali stopy ostrożnie, nie mogąc sobie pozwolić na skrócenie kostki, ani na żadne rany. Co chwilę rzucali szybkie spojrzenia na kondukt, kontrolując poczynania żałobników, gotowi w każdej chwili unikać.

Lecz mieszkańcy doliny nie zwracali na nich uwagi. Szczyt wzgórza był ścięty, tworząc piaszczyste zagłębienia. Zdjęli z ramion ciała kobiety, położyli i niedbale przysypali kilkoma garściami piasku. Ziarna padały na powieki, wypełniały oczodoły, układały się w gorzkie linie w bruzdach wokół ust. Wreszcie się wyprostowali i stali nad ciałem w bezruchu.

W miejscu, gdzie pochowali kobietę, było wiele ciał poukładanych warstwami jedne na drugich, grubymi pokładami. Mieszkańcy doliny wymierali. Skóra leżących stała się brązowa, wysuszyły ją słońce, napięła się na czasce, piszczele łokci niemal ją przebijaly.

Kiedy wędrowcy zobaczyli cmentarzysko, przyspieszyli kroku, ale i tak nie zwracano na nich uwagi. Spragnieni przypadli wreszcie do źródła, klęknąwszy zanurzyli twarze w zimnej wodzie i pili łapczywie. Kiedy zaspokoił pragnienie, napił się zwierzęta, potem zostały wypełnione bukłaki na zapas i przyszedł czas, by zdjąć z siebie odzież i pozwolić powietrzu owionąć skórę. Kobieta rozebrała dziecko i umyła je w źródle. Znalazionym w sakwach czystym kawałkiem lnianej płachty przewinęła mu biodra tak, jak to czynili pierwsi ludzie, a teraz i ostatni. Potem umyła włosy, a zanurzwszy stopy usiadła uspokojona i leniwie polewała plecy wodą. Kiedy wypoczęła, zabrała się za pranie szmat, w które byli obwiązani, potem one wysychały na kamieniach.

Zrobiło się ciepło, podniosła twarz ku niebu i wyteżywszy wzrok odniosła wrażenie, że dostrzega kulę słońca, pierzastą po bokach i zamgloną, więc roztrząsnęła swe długie włosy na plecach, tak bardzo zdążyły jej urosnąć, nigdy nie obcinane od tamtego czasu. Była to chwila bez troski, usiadła obok synka i zaczęła się z nim bawić kamyczkami. Chłopiec niczego nie rozumiał, ale jej zrobiło się w pewnej chwili smutno. Obłe, półprzezroczyste przedmioty składały się ze stopionego szkła z szyb domów, których nie było i ze szklanek, a może i akwarium po rybkach wymieszanych z prochem ludzkim, pyłem cegieł i resztkami plastyku po opakowaniach zawierających żywność. Nic z tych rzeczy nie istniało na świecie, a ludzi nie było. Malec czasami podnosił do oczu lśniące łezki i patrząc pod światło dziwił się zatopionym wewnątrz włosom, na wpół zwęglonej śrubce, czy kółeczku od samochodzika. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby zapytać o nazwy tych rzeczy, urzekała go ich tajemniczość, a matka nie chciała rozwiewać nastroju wyjaśnieniem, w jakim pożarze stopiły się ludzkie ciała i betony bloków, była to bowiem chwila bez troski i wytechnienia. Pogryzał kawał chleba od matki czując ją przy sobie i śmiał się głośno w tej zabawie. Jeszcze nigdy od początku wędrowki nie czuli się tak swobodni i bezpieczni.

Pojadali płaskie placki chleba z na wpół przemiełonego na kamieniach ziarna dzikich zbóż, mężczyzna wyczyszczył sierść wielbłądom, a kobieta, najedzona, zabrała się do zwijania wysuszonych już szmat i do porządkowania sakw. Z jednej wytrząsnęła paprochy i trochę ziarna, które upadło na wilgotną ziemię przy źródle. Chłopiec śmiał się rzucając kamyczkami, było cicho i to ich zmyliło. Nikt nie zauważył, kiedy pomiędzy głazami przypętlili mieszkańcy doliny przyczółgawszy się na łokciach i kolanach.

Wyrośli nagle jak na wół zrabany gaj. Stali przez chwilę nie wie mówiące i spłoszeni wędrowcy spojrzeli na wzgórze, żądobnicy otaczali grób, nieruchomi jak poprzedni. Ci pewnie wywlekli się ze swoich ukrytych pomiędzy pagórkami barłogów, z ledwo skłonionych klitek, wyleźli spod postawionych na sztorc desek tworzących dach. Ubrani w długie do kostek koszule, postrzępione i zakurzone, z burzą włosów i wynędźnianym ciałem, byli jednak ludźmi. Wiele musieli głodować, a może nie mieli ochoty i sił podtrzymywać swego życia pożywieniem. Ich twarze poprzecinane bruzdami nie wyrażały żadnych uczuć, w głębokich oczodołach słabo zarzyły się oczy, ale nie można było w nich dostrzec żenienia.

Wciąż nowi podnosili się powoli i obstępowali przybyszów, zaciętną krąg. Rodzina zrozumiała, że ci ludzie utracili wszystko oprócz oddychania i bicia serca, stali tak blisko, że widać było spieczyste kolana, prześwitujące poprzez rzadką tkaninę koszul, i sterzące żelaza. Za sobą mieli wszystko, a przed nimi było tylko cierpienie. Nie pragną niczego, każdą rzecz mają za nie. Czy sięgną po cudze życie, czy zabiją bez zastanowienia, nie czując żalu?

Mężczyzna ustawił szybko wielbłądy zadami ku sobie, między zwierzętami ukrył rodzinę, a sam wyszedł do przodu trzymając w garści duży kamień.

Podbiegli ku niemu od razu, ktoś dotknął jego ust prosząc, inne palce musnęły krtań w błaganii. Nagle w osłonięciu zaczął krzyżeć! Wydał głos całą siłą swoich płuc. Krzyk brzmiał potężny niby loskot, leciał daleko i – odlaty od pagórków – wracał, uderzając ludzi huraganem echa. Zabrakło mu oddechu, wciągnął powietrze szybko, ze świstem i znowu zaczął posyłać swój potężny głos fala za falą ku górze.

Mieszkańcy doliny stanęli jakby w zachwyceniu i nasłuchiwali olbrzymiącego głosu. Nagle się rozbiegli, jakby na niewidzialny znak i zaczęli tańczyć, objaśniając to, czego nie mogli powiedzieć: „Wreszcie słyszyny ludzki głos. Nie mamy w ustach języków, a w gardłach strum głosowych. Jesteśmy niemi i jesteśmy ślepi. Pragnęliśmy dotknąć waszych języków, chcieliśmy pomazać wasze gardła tylko po to, byście przemówili. Tak bardzo trzeba nam usłyszeć słowa, od dawna nie padł tu ani jeden ludzki dźwięk, więc krzyż, krzyż z całych sił. Dotykaliśmy waszego dziecka, ty wołało, ono było ciche i młode, niby nasze umarłe dzieci. Nie zrobilibyśmy mu krzywdy, chcieliśmy tylko, by wołało śmiejąc się lub płacząc, a ty krzyż, byśmy nie musieli cię do tego zmuszać”.

Mężczyzna wciąż ponawiał swój oddech. Wiedział, że od siły jego płac zależy życie ich wszystkich. Zdawał sobie sprawę, że kiedy zamilknie, będą chcieli dotknąć języka i krtań, by wydobyć głos. Orzyna wyobraźni widział, jak setki dotknięć rozrywają ich na strzępy, by usłyszeć chodzący jęk i nadal się cieszyć z brzmienia ludzkiego głosu. Żyli przecież w ciemności i ciszy w odosobnionej dolinie i powoli wymierali. Wśród nich nie było ani jednego dziecka, ani kobiety w ciąży, nie mieli przyszłości i dobrze o tym wiedzieli. Na ich cmentarzysku więcej było ciał, niż tu żywych, wszystkie twarze były stare, może tylko zniszczone od trudów i lez.

Już mu brakowało siły, by powietrzem wyciskany z dna płuc podtrzymywać falę głosu, wiedział, jaka śmierć czeka ich wszystkich i jeszcze natężał dźwięk. Nagle ton pękł. Otworzył usta szerzej, nabrał powietrza, lecz z jego krtań nie wydobył się nawet szep. Krzyżał z całej siły, lecz tylko ciszą.

Przerwali swój taniec, stanęli wyciągając szyję, nasłuchując w nadziei, potem zaczęli podchodzić wyciągając ręce i macając palcami w powietrzu.

Cofnął się, ale tylko o krok, za jego plecami stały zwierzęta.

– Dlaczego są to nieme wielbłądy, a nie konie, które potrafią wierzeć kopytami i kwiczeć ze strachu?! Dlaczego wielbłądy, patrząc obojętnie i przesuwanie reszki trawy, a nie psy rzucające się na osłep z upadaniem, wilki wyjące nad ciałami rozszarpanymi ich kłami.

Już ręce ludzi sięgały ich twarzy, wparł się plecami o zwierzę i podniósł rękę, w której nadal zaciskał kamień. Obok twarzy poczuł pyski i ciepły oddech, gdy nagle palce dosięgły jego ust, inna dłoń próbowała rozchylić mu wargi, a kilka następnych naciskało na szczękę, by je rozewrzeć. Wiedział, że palce zanurzą mu się w ustach, by wydobyć język. Zanim inne ręce sięgnęły mu do oczu, zanim zacisnął powieki zauważył, że zwierzęta, obnażając zęby, cofają się przed naporem rąk. Dotknięcia doprowadzały go niemal do szaleństwa, zastanawiał się, ile wytrzyma nim skóra się przetrze. Dusił się pod opłatami ramion, nie mógł uchwycić oddechu pod tysiącem dłońmi.

Nagle usłyszał głos, drżące mrużenie. Kobieta zaczęła śpiewać cicho

i niepewnie, jej głos niby płomyk migotał ze strachu. Śpiewała słodką piosenkę, jakby chciała uspić namiętności ludzi i oszczędzić swoje siły. Wiedziała, ile zależy od jej piosenki. Dźwięki dochodziły z wysoka, widać nie straciła żadnej krwi i wsiadła przedtem na wielbłąda. Zanim ją dostaną, będą wprawdzie musieli pokonać wielkie zwierzę. Był pewny, że dziecko ukryła za swymi plecami, okutawszy go w szmaty. Schowany pod sakwanami i tłumoczkami, ledwo oddychał i na pewno się uratuje, jego nie rozszarpia stęsknione ręce.

To mu wróciło siły, w dodatku ręce ludzi odpadły od jego twarzy, ramiona przestały obejmować mu głowę. Otworzył oczy, ludzie byli zasluchani w kołysankę, na ich twarzach zabłąkał się mglisty cień uśmiechu. Cofnął się poza zwierzęta i, ściskając kamień w garści, przypatrywał się im czujnie.

Nagle odezwał się w nich jakiś impuls, niedostrzegalne dla obserwatorów wewnętrzne znaki, odbiegły do tyłu i zaczęły tańczyć. Porozumiewali się na pewno innym językiem, nie używali wzroku, ani głosu, a teraz zebrali w sobie dziwne siły. Kilku chwiała się płacząc kroki, mimo to nie ustawało.

Chwytały się za głowy, jakby próbując uciszyć ból łomoczący o czaszkę, przyciskali dłonie do serca, by uspokoić nierówny rytm. Zataczali się, kilku upadło, jakby chwyciły ich nagle bóle, odezwała się uśpiona w ciałach choroba, która w tej chwili wybuchła pod wpływem ruchu i emocji. Żyli do tej chwili, jakby czekając na ludzki głos, kiedy go usłyszeli, puścili w nich tany i dali szumieć wielkiej rzecze śmierci. Opowiadali, co się wydarzyło:

„Tu było wielkie miasto, stały nasze domy. Kiedy spaliśmy uderzyła w nas wielka pięść i wgniotła dachy w ziemię. Wokół wypiętrzyły się góry, zniknęło słońce, ziemia zaczęła świecić niby szkielet. Mijał czas, wciąż wielu z nas umierało, ale ci, którzy ocalałi, żywiąc wewnętrzne przekonanie o nadejściu pomocy, nie chcieli jeszcze umrzeć. Nikt jednak nie przychodził. Wokół panowała cisza. Zrozumieli, że wszystkie miasta świata wgniotła w ziemię ta miażdżąca pięść, a ludzie oczekiwali nadarzenia ratunku.

Wymieraliśmy, najpierw dzieci, a żadna kobieta nie mogła poczęć nowego życia. Traciłmy wzrok i mowę. Jeszcze próbowaliśmy kleić chudki, ratować się, lecz toczyła nas tajemnicza choroba. Umieraliśmy wciąż każdego dnia, nasze oczy widziały coraz mniej świata. Tak mijał czas, teraz nie mamy już nadziei, czekamy, aż umrze ostatni z nas”.

Mężczyzna, patrząc na nich, poderwał cicho wielbłądy i sprawdził zamocowanie siodeł i sakw. Kobieta wciąż miała monotonną kołysankę.

Ci, którzy chwiali się na nogach i plątali rytmi, już upadli, inni namiętnie ciał przyprószali je garstką piachu i znowu ruszali w tan.

Melodia wywoływała w nich obrazy. Widzieli swe domy o zmierzchu, kiedy okna są niebieskie, muzyka cicho gra za ścianą, z kuchni dolatuje zapach kolacji, słychać szelest kartek, to dzieci odrabiają lekcje, pies śpi na progu, czasami unosi jedną brew i patrzy nieprzytomnym, zaspanym wzrokiem.

Tańczące upadali, lecz im się wydawało, że dotykają głowami ciepłych poduszek na łóżku, przecież pora odpocząć po pracowitym dniu.

Mężczyzna zaczął powoli prowadzić wielbłądy, stapały cicho, skierował je ku zbrownanym stokom, trzymając przy pysku. Kobieta nadal cicho śpiewała, chłopiec wygrzebał się spod płacht i pochwycił ją z tyłu w pól. Nie mogła powstrzymać się od lez.

Wreszcie wspiął się na wzgórze i odwrócił, by spojrzeć poza siebie. Nicim, ślepi i bez nadziei tańczyli swe szczęśliwe wieczory w domach, a kołysanka dźwięczała w nich, już nie potrzebowali by dopływała z zewnątrz. Wielu leżało sztywno na suchej ziemi wśród głazów. Pagórki, poprzecinane niby kośćmi żeber, obejmowały dolinę, która – teraz widzieli wyraźnie – przypominała szkielet zwierzęcia, które padło na pustyni.

Kiedy oddechali dalej, powietrze zgęstniało, wirował srebrny kurz, nie mogli już dojrzeć doliny, wiedzieli jednak, że tancerze, zasluchani, będą tańczyć, póki nie padnie ostatni.

Jechali dalej i wkrótce zaczęli znowu myśleć o morzu, do którego chcieli dotrzeć. Mijał czas, wokół źródła zaczęły kiełkować dzikie zboża z ziaren wytrzęsionych z sakw.

Rodzina dotarła do wielkiej wody, o wiele rozleglejszej, niż którykolwiek z nich widział we snach. Dzikie zboża szumiały już w całej dolinie na ciałach zmarłych. Chłopiec był dorosły i zjął z głowy zawój, a wiatr rozwał nim pasma złotych włosów. Podróżni zatrzymali swe wielbłądy nad brzegiem, i morze było czerwone.